



MAV

HERMIA STONE

IVIHA



Jonowi Bon Jovi
(bo może)

W życiu istnieją tylko cztery pytania o podstawowe wartości, Don Octavio. Co jest święte? Z czego jest stworzona dusza? Po co warto żyć? Za co warto umrzeć? Odpowiedź na każde z nich jest taka sama. Tylko miłość.

*Don Juan DeMarco*¹

¹ Don Juan DeMarco, scen. i reż. Jeremy Leven, 1995

OD AUTORKI

Witaj! Jeśli to Twoje pierwsze spotkanie z moimi książkami, wiedz, że „Max” jest trzecim tomem cyklu „Sundance”. I tak, do pewnego stopnia można tę historię czytać jako osobną opowieść z dwójką nowych bohaterów, ale całość nawiązuje do wydarzeń z poprzednich części serii. Poniżej zamieszczam bardzo szybkie wprowadzenie do fabuły. Możesz je również potraktować jako przypomnienie, co działo się w poprzednich tomach, jeśli masz już za sobą „Joy” i „Dię”.

No i – co najważniejsze – życzę Ci miłej lektury.

A więc tak...

Cykl „Sundance” opowiada o czteroosobowym zespole rockowym, w którego skład wchodzi: wokalista – John Ricchi, gitarzysta – Patrick Smith-Royal, basista – Benjamin Ó Maoilriain i, przynajmniej do pewnego momentu, perkusista – Jim Hayes. To opowieść o ich zmaganiach z rynkiem muzycznym, na którym działają już kilkanaście lat, ale też o uczuciach. Pierwszy tom skupia się na bardzo, bardzo gwałtownej i zagmatwanej miłości Johna i Joy. U nich jest dobrze albo źle, ale nigdy nudno. W trzecim tomie są na etapie „bez siebie źle, razem jeszcze gorzej”.

Tom drugi opowiada o Patricku i sporo młodszej od niego gitarzystce Dii. To para, która oswaja się ze sobą powoli i na chwilę obecną buduje ostrożny związek na odległość. Dzięki Patrickowi Dia wyjechała w trasę dookoła świata z zaprzyjaźnionym zespołem dinozaurów

rocka, czyli z czterema przemiłymi emerytami, którzy nie powiedzieli jeszcze ostatniego słowa i zamierzają grać aż do śmierci.

Po drodze zespół Sundance zdążył się rozpaść i skleić z powrotem, ale pozostał mały problem. Perkusista Jim postanowił odejść po kilkunastu latach wspólnego grania i skupić się na swoim drugim zawodzie: bestsellerowego pisarza kryminałów. I oto jesteśmy tutaj, na początku trzeciego tomu, gdy Sundance usilnie próbuje wrócić na rynek muzyczny, ale żeby to zrobić, musi znaleźć nowego bębniarza. Oj, to nie będzie łatwe zadanie...

HS

PROLOG

Koperta wyglądała niepozornie. Leżała na wycieraczce w korytarzu, tuż pod niewielkim otworem w drzwiach, przez który została wrzucona. Wąska, dosyć cienka, z okrągłym logo nadawcy. Gdyby się przyjrzeć, dałoby się zauważyć wystylizowane litery układające się w nazwę Page Industries. To mogłoby wzbudzić u co poniektórych niepokój, ale Max był jeszcze przed pierwszą kawą i nie wszystko mu w mózgu stykało, więc gdy zauważył, że koperta jest adresowana do niego, sięgnął po klucze i otworzył nimi przesyłkę, nie przypuszczając nawet, że to, co znajdzie w środku, zwiastuje w jego życiu wielką zmianę.

Z wnętrza wypadła pojedyncza kartka. Zaproszenie, jak skonstatawał mężczyzna, podnosząc twardy kartonik ze złożonymi brzegami. Na przesłuchanie do roli perkusisty w zespole Sundance. Ta nazwa już coś Maxowi mówiła, ale, wiadomo, był przed pierwszą kawą. Poza tym co innego zaprzętało jego myśli. Przecież nie szukał pracy i z pewnością nie wysyłał nigdzie swoich papierów, więc dlaczego dostał zaproszenie? A najważniejsze... Jak to całe Page Industries go tu znalazło, w samym środku słonecznej Sieny?

Obejrzał jeszcze raz kopertę, tym razem dokładniej. Jego imię i nazwisko. Logo. I tyle. Żadnych stempli, żadnego znaczka.

– Ki diabeł? – mruknął Max, drapiąc się kluczami po czole.

Dopiero pół godziny później, gdy dopił drugą kawę, odkrył irytujące zadrapanie tuż nad brwiami, a także adres mailowy i numer

telefonu na dole zaproszenia. Oczywiście skorzystał, bo ta sprawa była szalenie podejrzana. Ale przede wszystkim intrygująca. Jak mógłby się nie dowiedzieć, o co chodzi?

ROZDZIAŁ 1

FOR MY BROTHER

Patrick siedział w kuchni i brzdąkał nieskładnie na gitarze. Obok niego stał dzbanek na wpół wypitej zimnej już kawy, na blacie rzędem przycupnęły przynajmniej trzy kubki z brązowymi zaciekami, jednak nie miał siły ani nastroju ich sprzątnąć. Wszystko było takie... no właśnie „nie takie”. Niewłaściwe. Nie do końca dobre, ale mężczyzna nie umiał określić, co go uwierało. Poza rzeczywistością jako taką.

Page oczekiwał, że Patrick pojawi się z nowymi melodiami albo chociaż nowymi tekstami. O to samo dopominał się od Johna. Benowi się upiekło, lata temu obrał właściwą taktykę pod tytułem: „nie wiem, nie znam się, nie umiem, w mordę chcesz?”, więc jakoś wymagali od niego mniej. Choć jak przyszło co do czego i zespół się rozleciał, to Benjamin okazał się klejem, który zaczął wszystko spajać. Był na miejscu, gdy go potrzebowali, a jego dom stał się dla pozostałych muzyków Sundance twierdzą.

Ach, dom Bena... – Patrick rozmarzył się, przypominając sobie chwile wspólnie spędzone z Dią. To właśnie w architektonicznym koszmarmu przyjaciela udało mu się złapać z nią nić porozumienia i zacząć coś, co... No właśnie, status jego związku z Dią też był mocno niejasny. Czy w ogóle mógł to nazwać związkiem? Nawet tego nie był pewien. A trudno spokojnie porozmawiać z kimś, kto szaleje na trasie koncertowej w jakimś nieokreślonym fragmencie globu. Gdzie Deep Crimson grali teraz, w Ameryce Południowej? Czy już przenieśli się dalej? Będzie musiał zerknąć do swojego niezawodnego terminarza.

A więc tak. Wymagania Page'a. Sundance w rozsypce. Nieokreślona sytuacja z dziewczyną, która wyjechała w świat, zabierając jego serce ze sobą. Jakby tego było mało, do studia Bad Eggs zwałił mu się niezapowiedziany audyt, a jego rodzina koniecznie domagała się spotkania w pełnym gronie, rzecz jasna ze względu na interesy.

Nagle poirytowany zabębnił palcami w pudło gitary. Szlag by to wszystko, czemu nie mógł ot tak, po prostu, odzyskać swojego starożytnego życia i świętego spokoju? Tęsknił za tym beztróskim gościem, bawidamkiem i pięknišem, na którego pozował tyle lat. Naprawdę go lubił, choć była to tylko wizja wykreowana na potrzeby marketingu i mediów. Ale tamten Patrick... cóż, mógł być jego najlepszą wersją. A przynajmniej szczęśliwą i bezproblemową.

Znów dotknął strun. Przymknął powieki. Musiał się skupić i coś z siebie wykrzesać, choć czuł tylko straszną, ciemną pustkę...

– Przestań się zachowywać jak cipa i uważać się nad sobą. – Usłyszał za plecami.

Gwałtownie otworzył oczy i obejrzał się za siebie. Do kuchni właśnie wparadował Ben, ciągnąc za sobą lekko potarganego i chyba nie do końca dobudzonego Johna.

– Jak... – zaczął, odkładając gitarę na blat. – Jak się tu dostaliście, do jasnej cholery?!

– Drzwi były otwarte – powiedział Ben.

– Gówno prawda – mruknął John za jego plecami.

– Drzwi tarasowe. Jak się trochę pogrzebało przy zamku – uściślił Ben. – No co, jakoś musieliśmy wejść...

– Są też zwykłe drzwi – przypomniał Patrick. – Te frontowe. Z dzwonkiem, nie wiem, czy to coś wam mówi. A co z bramą wjazdową? Ta na pewno jest zamknięta!

– Górą – jęknął John. – Dzięki Bogu, że nie opuściłem w ostatnich tygodniach dnia rąk i nóg, choć szczerze, to nie sądziłem, że krzepa przyda mi się do takich wyczynów.

Ben tylko się szczyrzył. Od razu dało się zauważyć, że to on był prowodyrem włamu do domu gitarzysty. Patrickowi opadły ręce.

– Ale dlaczego?! – zapytał. – Przecież jak mieliście jakąś sprawę,

mogliście zadzwonić! Albo, nie wiem, podjechać i użyć domofonu...

– Ale tak jest zabawniej. Poza tym – Ben przestał się szczerzyć – ty i John macie wbrew pozorom podobnie kruchą psychikę, więc uznałem, że musimy wrócić do korzeni, zanim obaj zaczniecie chodzić po ścianach i szlochać w poduszki.

– Nie szlocham w żadne poduszki – powiedzieli jednocześnie John i Patrick.

– Ale obaj chodzicie po ścianach. Z różnych powodów, ale myślę, że jeden przeważa. Choć pewnie nie zdajecie sobie z tego sprawy.

– Nie pierdol, Sherlocku – burknął John. – Niby z jakiego?

– Z tego samego co ja – przyznał Ben, rozkładając ugodowo ręce.

– Sracie po nogach, bo boicie się tych cholernych przesłuchań. Obawiacie się tego, kto przyjdzie. Tego, że nikt nam nie podpasuje i zostaniemy bez bębniarza. Albo, jeszcze gorzej, że kogoś wybierzemy. Nowego członka Sundance. Nowego członka rodziny. Dawno zagnionego brata.

Patrick nieświadomie zaczął kiwać głową.

– A co, jeśli okaże się psychopata? A co, jeśli nas zniszczy tak, że już nie będzie czego zbierać?

– I myślisz, że co niby powinniśmy zrobić? Zrezygnować z przesłuchań? Czy zalać się w trupa? – burknął John, zakładając ręce na piersi.

– Powinniśmy najpierw sami się odbudować – zaproponował Ben, z rozważą dobierając słowa. – Page miał niezły pomysł z wizytami u psychologa, ale same rozmowy nam nie pomogą. Page nie jest muzykiem. On nie rozumie, nie do końca... – Basista na chwilę zamilkł i zadumał się. – Tak sobie myślę... Perkusja to rytm, to bicie serca, ale... można żyć bez serca. Ja żyję, odkąd Kath mnie zostawiła. Z Johnem wiadomo, jego serce jest od kilku miesięcy w kawałkach. A ty – zerknął na Patricka – wsadziłeś swoje do samolotu.

– Wcale nie – zaprzeczył gitarzysta bez specjalnego przekonania. Owszem, dokładnie tak czuł.

John podejrzliwie popatrzył na basistę.

– Kath... Mówisz o mojej siostrze, prawda? Szczerze, to domyślałem się, że coś tam musiało zajść, ale żadne z was o tym nigdy nie

wspominało i jakoś nie sądziłem, że...

– Była moją pierwszą miłością – mruknął Ben. – Do tej pory zresztą jedyną, ale co poradysz, jak nic nie poradysz. Pogodziłem się z tym. Już mi przeszło.

John otworzył usta, ale się nie odezwał. Benjamin wzruszył ramionami i kontynuował:

– Wracając do meritum. Potrzebujemy serca, ale póki co możemy sobie poradzić bez niego.

– Czy możesz wreszcie powiedzieć, ale tak jasno i klarownie, o co ci chodzi? – zapytał Patrick, sięgając po dzbanek i namierzając najczystszy z brudnych kubków.

– Owszem. – Ben chwycił za gryf gitary i wcisnął ją zaskoczonemu Patrickowi. – Najwyższa pora, żebyśmy znowu zaczęli ze sobą grać. Dobrze wiem, że żaden z was nie jest w stanie wycisnąć z siebie ani słowa, ani nuty i szlochacie w ciemnościach w poduszki...

– Wcale nie!

– Więc najwyższa pora, żebyśmy przestali udawać solistów, bo nimi nie jesteśmy. Jesteśmy zespołem. A zespoły trzymają się razem. Grają razem.

Patrick ostrożnie przytulił do siebie gitarę.

– Dobra, a gdzie jest twój bas?

– Zostawiłem go przy drzwiach tarasowych – odpowiedział Ben z uśmiechem. – Zorganizuj więcej kawy i za dziesięć minut widzimy się w studiu na dole – rzucił i wymaszerował z kuchni.

John i Patrick przez chwilę stali w milczeniu.

– Wiesz, w sumie to go kocham – powiedział John. – Ale mu o tym nie mów.

– Przecież on o tym dobrze wie – zapewnił go Patrick, odstawiając z czułością gitarę i chwytając brudne kubki. Najwyższa pora wydelegować je do zmywarki i znaleźć jakieś czyste. Trzy. – Tam jest młynek – powiedział do Johna, pokazując łokciem. – Przydaj się do czegoś i zrób kawę.

John z trudem się powstrzymał, żeby go uściskać. Ale też by się nigdy do tego nie przyznał.

Benjamin był kanciasty i toporny jak wikiński młot, ale nie można mu było odmówić, że wpadał na całkiem niezłe pomysły. Kilka godzin grania melodii bez nut i słów coś w nich zmieniło. Kto by przypuszczał, że rozwiązanie problemów – przynajmniej niektórych – mieli na wyciągnięcie ręki. Cóż, w sumie wiadomo, że najciemniej pod latarnią.

Kiedy więc kilka dni później James poinformował ich, że z ośmiu zaproszonych perkusistów na przesłuchanie przybędzie pięciu, podszli do tematu może nie z nadzieją, ale na pewno z nieco lepszymi humorami.

Poza tym odkryli, że choć są ludzie, którzy chcą grać w Sundance, to obecna ekipa zespołu niespecjalnie wiedziała, jak przeprowadzić przesłuchanie.

– Chyba najwyższa pora, żebyście to ustalili? – zasugerował James z nieukrywany sarkazmem. – W końcu to wasz zespół i wasz nowy perkusista. Chyba że coś mi umknęło?

John jęknął i ukrył twarz w dłoniach.

– Na pewno musimy z nimi zagrać – dobiegło zza szczupłych palców. – Dostali już nuty i nagrania, więc mieli czas, by się zapoznać z naszym stylem i tym, co należy do nich... Miejmy nadzieję, że ćwiczą...

– Jakież jam session, żeby zobaczyć, czy potrafimy się zgrać na poziomie muzycznym? Kiedy nie ma podanych instrukcji? – dodał Patrick, w zamyśleniu skubiąc dolną wargę.

– I solówka! – wykrzyknął Ben. – W końcu co to za bębniarz, który nie umie porządnie naparzać przez kilkanaście minut!

John ponownie jęknął.

– Nikogo nie znajdziemy, zobaczycie, mamy za duże wymagania...

Page się uśmiechnął.

– Pożyjemy, zobaczymy – zawyrokował. – Nagrania dostali, a resztę zachowamy przed nimi w tajemnicy. Ważne, by umieli też działać w sytuacjach stresowych. Może trafi się ktoś, kto sprostą waszym oczekiwaniom.

– Jak w sytuacjach stresowych, to w połowie solówki powinniśmy im jeszcze wyłączyć światło – rzucił Patrick odruchowo.

– Zapisuję – odrzekł James. – Świetny pomysł.

Wyszedł z pokoju.

– I teraz dopiero narobiłeś – burknął John.

Patrick przewrócił oczami. No jasne, to zawsze była jego wina.

ROZDZIAŁ 2

PLAYING TO WIN

Max schował paszport do kieszeni. Poprawił okulary z grubymi oprawkami, naciągnął czapkę na uszy, skrywając burzę ciemnych, falujących włosów, i próbował nie zwracać na siebie specjalnej uwagi. Łatwiej powiedzieć, niż zrobić, kiedy ma się metr dziewięćdziesiąt, sylwetkę wikińskiego wojownika i aparycję, która nieraz sprawiała, że musiał tłumaczyć, że nie, nie jest tym aktorem z „Gry o tron”, tym, no, Khalem Drogo. Jasonem Momoą. Wszystko jedno. A czasami, kiedy był zmęczony i nie chciało mu się tłumaczyć pomyłki, podpisywał się w imieniu absurdalnie popularnego Hawajczyka, mając nadzieję, że ten się nigdy nie dowie.

Tym razem jednak udało mu się szczęśliwie opuścić teren lotniska bez zbędnego zamieszania. Wsiadł do pierwszej wolnej taksówki, rzucił na siedzenie obok siebie stary, skórzany plecak, pamiętający lata pieszych wędrówek po Alpach, i podał taksówkarzowi adres hotelu Crowne Plaza. Następnie zajął się wyglądem przez okno żółciutkiego samochodu. Jednak jego umysł tylko drobnym ułamkiem notował uliczne korki, mijane coraz wyższe budynki i dzikie tłumy pędzących dokądś ludzi. Oraz światła, nieliczoną ilość kolorowych świateł rozbłyskujących wraz ze zbliżającym się wieczorem.

– Jezu, tu nigdy nie robi się ciemno – mruknął, odruchowo mrużąc oczy od tych jaskrawych różów, niebieskości, fluorescencyjnych zieleni, milionów watów atakujących z reklam, witryn sklepowych, restauracji, biur i tak dalej, i tak dalej.

– Pierwszy raz w Wielkim Jabłku? – zapytał taksówkarz nieco znudzonym głosem.

– Jakoś tak wyszło – przyznał Max. – Dostałem zaproszenie na rozmowę o pracę, to jestem. – Wzruszył ramionami. – Choć nie robię sobie nadziei, konkurencja jest za duża i zbyt silna...

Wiedział, co mówi. Kiedy zadzwonił pod podany na zaproszeniu numer i zorientował się, o co chodzi, menedżer Sundance przekazał mu, że nie jest jedynym zaproszonym. I, „ale tak między nami”, że okazał się jednym z najmniej znanych nazwisk na liście. Jednak John, Patrick i Ben uznali, że coś w nim jest. Chcieliby zobaczyć, czy „coś” Maxa współgra z ich „cosiami”. Czy nadal byłby skłonny przyjechać?

Max zastanawiał się. Jakieś dwie i pół sekundy. Góra trzy. I nim się obejrzał, już trzymał w ręku bilet lotniczy i leciał na drugi koniec świata, by sprawdzić kompatybilność „cosiów” z trzema innymi facetami. To prawdopodobnie była jedna z najgłupszych rzeczy, jaką robił w życiu. A miał na pośladku tatuaż przedstawiający jednorożca, więc niech to będzie stosownym odniesieniem.

– Się pan nie łamie. W końcu w tym mieście wszystko jest możliwe – rzucił taksówkarz.

Max coś nie do końca mu wierzył. Gdyby tak było, łysol nie siedziałby teraz za kółkiem, tylko grałby w filmach akcji przy boku Jasona Stathama. Ba, byłby Jasonem Stathamem.

– Ano – odpowiedział, wcale niepodniesiony na duchu, i wrócił do wyglądanego przez okno.

Pół godziny później podjechali pod absurdalnie wysoki hotel.

– Ile to ma pięter? – jęknął Max, wysiadając z taksówki i zadzierając głowę do góry. Obrócił się i popatrzył dookoła. – Czemu to wszystko jest tak cholernie wysokie?!

– Na oko nieco ponad czterdzieści. Pięter – poinformował go taksówkarz głosem jasno dającym do zrozumienia, że jego już nic nie dziwi.

– Oby nie popsuły się windy – mruknął Max, płacąc za przejazd. Chwilę później zarzucił wygodniej plecak przez ramię i ruszył w stronę jednego z drapaczy chmur.

Przesłuchanie do Sundance miał dopiero jutro rano, ale był pewien, że i tak nie zmruży oka. Równie dobrze mógł się zameldować, wziąć szybki prysznic i pójść na wycieczkę. Druga taka okazja mogła się nie powtórzyć.

Plan był niezły mniej więcej do momentu prysznica, bo gorąca woda w cudowny sposób wypłukała z niego stres, wybiła ból i ucisk w mięśniach, który czuł od momentu, gdy wsiadł do samolotu. Wyszedł z rozgrzanej, parującej łazienki, tylko na momencik usiadł na łóżku i... zasnął. Nie nastawiając budzika, wciąż w ręczniku na biodrach, z nierozpakowanym plecakiem i zerowym przygotowaniem do jutrzejszego dnia.

Mniej więcej w tym samym czasie, gdy Max przelatywał nad oceanem, niekompletne Sundance brało udział w pierwszych przesłuchaniach.

Atmosfera była dosyć grobowa, jakby ich poprzedni perkusista, Jim, zmarł, a nie zrezygnował z zespołu na rzecz rozwijania zabójczo intratnej i wygodnej kariery pisarza. Sytuacji i humorów Johna, Patricia i Bena nie poprawiał również fakt, że pierwszy kandydat okazał się zdolnym muzykiem, ale strasznym bucem – i wszyscy mieli ochotę wywalić go ze studia przez końcem próby, ale jakoś się powstrzymali.

Drugi kandydat im przepadł, bo tydzień przed przesłuchaniem bawił się z psem i złamał rękę w nadgarstku. Było mu cholernie przykro i zadzwonił z przeprosinami i sugestią, że gdyby nie znaleźli swojego kandydata w pierwszym cyklu przesłuchań, to on naprawdę szalenie chętnie się pojawi i pokaże, co umie, ale teraz „no, sami rozumiecie”.

Rozumieli.

Wieczorem mieli jeszcze jednego gościa. Pojawił się punktualnie o siódmej, otoczony aurą zajębistości, która obiecywała, że może jednak Sundance ma jakąś przyszłość...

Josh Bohnam był żywą legendą. Podobno miał słuch absolutny. Podobno potrafił powtórzyć każdą, nawet najtrudniejszą melodię

po jednokrotnym przesłuchaniu.

A do tego – co skonstatował John z pewnym niepokojem – był wielki, brodaty i wyglądał jak mroczna wersja Świętego Mikołaja.

– Cześć! – huknął od wejścia. – Podobno szukacie perkusisty!

– Na to wychodzi – zaśmiał się John nieco nerwowo. – A ty chcesz nim zostać?

– Inaczej by mnie tu nie było! – Bohnam rozejrzał się po pomieszczeniu. Scena była niewielka, częściowo schowana pod schodami, z których właśnie schodził Page. Na ścianie za schodami górował olbrzymi mural przedstawiający jakiegoś dawno zmarłego muzyka, patrzącego na to, co się działo w studiu, z surową i chyba nieco oceniającą miną. Nie ma to jak przyjazne i niestresujące miejsce pracy.

– Ach, Page, stary druhu! – zawołał Bohnam na widok menedżera niskim, dudniącym basem. – Nic się nie zmieniłeś!

Page poprawił rękaw seledynowego jedwabnego garnituru.

– Za to tobie się chyba przytyło – mruknął w odpowiedzi.

– Najpierw masa, potem rzeźba! To co, jak wygląda to wasze przesłuchanie?

Page pokazał na stojącą pod schodami perkusję, hałdę talerzy, bębnów i bogowie wiedzą czego jeszcze leżącego obok.

– Podstawa jest skrzycona, ale dopasuj sobie resztę do swoich potrzeb, wymagań i umiejętności – powiedział. – W końcu to może być twoje nowe miejsce pracy.

Bohnam kiwnął głową i wspiął się na scenę, tupiąc wielkimi buciorami, a potem zaczął grzebać w sprzęcie.

– To nie... to nie... to tak... to też tak... o! To tak! – mamrotał, wygrzebując instrumenty. – Dobra, dajcie mi kilka minut.

– Jasne – powiedział John, z urazą patrząc na pozostałych, milczących członków Sundance. Stali i się gapili. Pierwszy ze stuporu ocknął się Patrick.

– Szlag, sorry, powinienem się przywitać – powiedział, z przepaszającą miną podchodząc do przykręcającego coś miśka. – Patrick Royal.

Bohnam wyciągnął dłoń nad zestawem perkusyjnym i chwycił

palce Patricka w mocnym uścisku.

– Josh Bohnam. Trudno cię nie znać, Pat, jesteś klasą samą w sobie. Zdumiewające, że wcześniej się nie spotkaliśmy.

– Tak, w sumie dziwne – bąknął Patrick.

– A ja jestem Ben! – wrzasnął Ben za jego plecami.

– Wiem! Kiedyś z tobą piłem, masz głowę słabszą ode mnie! – huknął Bohnam.

– Niemożliwe, w takim razie to nie byłem ja! – odrzyknął mu Benjamin.

Perkusista zaśmiał się w odpowiedzi.

– No dobra, skrócone. Co teraz? – zapytał, siadając na stołku.

– Ach, będziemy nagrywać z tego wideo – przypomniał sobie John.
– Wyłącznie dla użytku wewnętrznego – dodał szybko. – Zdajesz sobie sprawę, że dla nas to, no cóż, duża życiowa zmiana. Chcemy podjąć decyzję na spokojnie. Dzisiaj się poznać i zobaczyć, jak reżujemy, a potem obejrzeć nagranie, popatrzeć na to, jak nam idzie... z zewnątrz.

– Z dystansem. – Bohnam pokiwał głową. – Jasne, nie ma sprawy.

– Świetnie. – John potarł ręce. – To ja sobie póki co przycupnę z boku i popatrzę, jak wam się gra. Koniec końców jestem tylko wokalną przeszkadzajką, to wy odwalacie całą robotę.

– Już cię lubię – zapewnił Bohnam, sięgając po pałeczki i moszcząc się wygodnie na stołku. Mebel skrzypnął w proteście. Perkusista swoje ważył.

– Zaczniemy od czegoś wolniejszego, może „Destiny” – zaproponował John z krzesła, patrząc, jak Patrick przekłada pas od gitary przez plecy. Ben stał już gotowy i nerwowo bębnił palcami o pudło od basu. – Potem może „Hurricane” i od razu przeslibyśmy do „Your love”. Pasuje? James w studiu obok zajmie się podkładem, nagłośnieniem i resztą tych cudownych pierdół.

Bohnam poprawił słuchawki ochronne. Pokiwał głową.

– Dobry zestaw do testu – pochwalił. – Różnorodny.

– To będzie pierwsza część tego, jak określiłeś, testu. Pozostałe dwie są niespodzianką.

– Nie mogę się doczekać...

Bohnam grał perfekcyjnie. Wszystkie dźwięki były na swoim miejscu i John mógłby przysiąc, że za garami siedzi nie wielki misiek, tylko Jim, ich były członek. To było niesamowite i dziwne zarazem. Otwarte oczy – Bohnam. Zamknięte – Jim. Otwarte...

Przerażające.

Po pierwszych trzech utworach z repertuaru Sundance zapadła ogłuszająca cisza.

– Wow – powiedział w końcu Patrick. – To było...

Bohnam przeciągnął się, strzelił palcami.

– To jaka jest ta druga niespodziewana część?

John wstał.

– Teraz zrobimy sobie krótkie jam session. Zwykle komponujemy na sucho i potem ogrywamy to razem w studiu, ale czasami... czasami coś rodzi się ot tak, z samej muzyki. Chcemy zobaczyć, czy twoje serce bije w tym samym rytmie, co nasze. A ja będę sobie zawodził tutaj w kąciku. – Szturchnął stojak od mikrofonu.

Patrick kiwnął głową i zagrał parę niezobowiązujących taktów. Ben od razu podchwycił.

Bohnam przez jakiś czas słuchał, a potem dodał niepokojący, a jednocześnie ekscytujący rytm. John, jak zapowiedział, nucił w kąciku melodię bez słów.

Mogli tak grać kilka, może kilkanaście minut. Trudno było powiedzieć. W pewnym momencie Bohnam zagrał coś, co zabrzmiało jak finał, a reszta muzyków odruchowo podążyła za nim.

– Cholera jasna, jakby mnie uwiodła bajkowa Królowa Śniegu – mruknął Patrick, zdejmując gitarę. – To było...

– Zajebiste – dodał Ben. – Stary, postawiłeś poprzeczkę tak wysoko, że nie wiem, czy inni kandydaci w ogóle ją dojrzą ze swojego poziomu. Jesteś pierdolonym mistrzem!

Bohnam wytarł spoconą twarz ręcznikiem.

– Proponuję chwilę przerwy, pogadamy sobie, poznać się lepiej na poziomie ludzkim. – Głowa Jamesa wychynęła zza drzwi prowa-

dzących do pomieszczenia odsłuchowego. – A potem trzecia część.

– Niech zgadnę, mam trochę zipnąć i złapać oddech, bo wrzucicie mnie na solo? – zapytał Bohnam, wychodząc zza perkusji i z wdzięcznością przyjmując od Bena butelkę z wodą.

– Mam wrażenie, że już znasz nas za dobrze. Co będzie za dziesięć lat? – mruknął John.

– To zależy od was – przypomniał mu perkusista. – A więc... o czym pogadamy?

Kwadrans później, wymieniwszy plotki i ustaliwszy, jak Bohnam widzi się w Sundance i jak Sundace widzi się ewentualnie z Bohnamem, brodacze wrócili za perkusję.

– Dowolną solówkę? – upewnił się.

– Zaszalej. – John machnął ręką. – Jedziesz, ile fabryka dała.

To pojechał.

Kiedy – zgodnie z planem – zgasili mu światło, dźwięk urwał się jedynie na sekundę, kiedy to usłyszeli rubaszny, pełen zachwytu dobrą sztuką śmiech, i Bohnam wrócił do łomotania.

Pożegnali się pół godziny później, wyściskawszy go jak dobrego znajomego, choć poznali się dopiero tego samego dnia. Kiedy drzwi za brodaczem zamknęły się, przez chwilę panowała cisza.

– Szlag – odezwał się wreszcie John, pocierając twarz. – Jest dla nas za dobry. Poza tym ustawił poprzeczkę tak wysoko...

– Ta, nie wiem, kto musiałby się najawić, żeby go przeskoczyć. Bohnam jest pieprzonym czarnym koniem – dodał Ben. – Choć trochę mi przy nim straszno. Czuję się, jakbym stał przed nauczycielem, a nie kumplem. Mam wrażenie, że cały czas mnie oceniał i nie był pewien, czy to ja jestem dla niego wystarczający...

– Znaczy, nie tylko ja czułem, że to on przesłuchuje nas, a nie my jego?

– Lepiej bym tego nie ujął! – John ucieszył się nie wiadomo z czego.

Pewnie gadaliby tak jeszcze kilka godzin, przywołując z pamięci każdą minutę tego spotkania, gdyby Page nie wyrzucił ich ze studia z nakazem, by natychmiast wracali do łóżek, bo jutro rano mają ko-

lejnego perkusistę do przesłuchania.

Jakby było po co.

Max zasnął. Obudził się, kiedy światło przez niezasunięte zasłony padło mu na twarz. Odruchowo, zaspanym wzrokiem zerknął na zegarek i prawie dostał zawału.

Zerwał się z łóżka, wciągnął dokładnie te same ubrania, które miał na sobie dzień wcześniej, czyli ciężkie buciorzy z poprzecieranymi sznurowadłami, podróżne džinsy i podkoszulek ze zdjęciem rozkosznego czarnego labradora i napisem „Proszę, adoptuj mnie”, złapał plecak i wypadł przez drzwi. W windzie przypomniawszy sobie, że nawet nie umył zębów. Zanim dojechał na parter, zdążył zjeść pół paczki mentolowych drażetek i pogratulować sobie, że wieczorem nie najadł się ryb, czosnku albo cebuli. W sumie to w ogóle nie zjadł wczoraj kolacji. A dziś nie miał czasu na śniadanie.

A miał tak ambitne plany na poranek! Dobrze zjeść, przejść się po okolicy, uisnąć w parku i jeszcze raz w głowie powtórzyć listę wymaganych do rekrutacji utworów.

No to rzeczywiście świetnie mu się udało. Jeśli cały dzień miał być taki, to równie dobrze mógł nie wychodzić z łóżka. Tyle, jeśli chodzi o dobre wejście w świetlaną przyszłość.

Z ponurą miną wysiadł z windy i szybkim krokiem ruszył w stronę wyjścia. Przeklinając w myślach siebie, swoją głupotę i świat jako taki, wypadł na głośną, zatłoczoną ulicę.

Musiał się natychmiast dostać do studia. Wszystkim lokalnym bóstwom niech będą dzięki, że znajdowało się półtorej przecznicy stąd, bo gdyby miał łapać taksówkę i przebijać się przez te korki...

Aż nim wstrząsnęło na tę myśl.

Ale najpierw... – Ziewnął i oczy mu rozblęły, kiedy zobaczył logo znanej kawiarni. – Najpierw kawa. Przyda się dużo kawy.

Jakimś cudem zdążył.

– Hej! – powiedział do ochroniarza przy wejściu, otwierając drzwi nogą. Ręce miał zajęte. – Na przesłuchanie do Sundace?

– Już prowadzę – odpowiedział byczek głowę niższy i sporo chudszy od niego. Ta, Max już widział, jak to niedogolone chuchro powstrzymuje go przed czymkolwiek. Cóż, jeśli nie dostanie fuchy perkusisty, zawsze może zatrudnić się na bramce...

Przeszli jednym, potem drugim korytarzem i wreszcie dotarli do niewielkiej, półotwartej auli ze schodami prowadzącymi na górę. Max przelotnie zerknął na mural i zogniskował spojrzenie na zatopionych w rozmowie ludziach. Oto i Sundance w pełnej krasie, choć nie w komplecie.

Max nabrał powietrza, jakby dopiero teraz dotarło do niego, co robi. Szlag, tak strasznie chciał wypełnić miejsce po Jimie. Nie zdawał sobie sprawy jak bardzo, dopóki ich nie zobaczył. Aż go zakłuło na myśl, że mógłby stracić taką szansę.

Przywołał na twarz najszczerzy ze swoich uśmiechów i zawołał:

– Hej!

Ekipa odwróciła się. I popatrzyła na niego z niezrozumieniem w oczach.

– Maximilian Valentino, na przesłuchanie. Wicie, perkusja...

– Aaaach! – Patrick rozjarzył się w uśmiechu, podchodząc do niego.

– Wybacz, po prostu wyglądasz...

– Tak, wiem, nie jesteś pierwszy, który to mówi. – Max wyszczerzył się w odpowiedzi. – Nie, nie jestem Jasonem Momoą. Ani jego bratem bliźniakiem. Kawy? – zaproponował, podając gitarzyście papierowy kubek z jego imieniem. – Uznałem, że jest rano i wszystkim przyda się kop na start...

– Rany, dzięki! – Patrick z wdzięcznością wziął od niego kawę i powąchał. – Orzechy?

Reszta zespołu stała tuż za jego plecami. Tymczasem Max sięgał po kolejny kubek.

– Ben. – Podał nieco zdziwionemu basiście. – I John.

– O ja pieprzę, karmel i czekolada! – Benjamin prawie wsadził nos do kawy.

W ręku, w tekturowym opakowaniu zostały Maxowi jeszcze dwa kubki. Łapczywie upił łyka z jednego z nich i rozejrzał się po auli. Wreszcie dostrzegł stojącego w kącie i przyglądającego mu się Page'a. Podniósł kubek i pomachał nim ostrożnie w stronę menedżera.

– I chai latte, dobrze kojarzę?

Page znalazł się przy nich szybciej niż światło.

– Nie wierzę, że ktoś o mnie pamiętał. – Z zaskoczeniem odebrał napój z rąk Maxa i uśmiechnął się do niego ciepło.

John zamarł w pół łyka, patrząc na to z przerażeniem. To Page tak umiał?

– Dlaczego nie? – zdziwił się Max.

– Dziękuję ci, Maxime – dodał James. – To bardzo miłe z twojej strony. Ale jeśli myślisz, że nas tym przekupisz...

– Ja jestem częściowo kupiony – mruknął Patrick, nadal rozkoszując się zapachem orzechów. – Tak odrobinę.

– Nie! – Max zaśmiał się. – Bardzo, ale to naprawdę bardzo potrzebowałem napić się kawy, a wcześniej nie zdążyłem. Głupio by było przyleźć z jednym kubkiem – powiedział. – I niegrzecznie.

– Trochę mnie niepokoi, że trafiłeś w punkt z zamówieniem – zauważył milczący dotąd John, sącząc mocną czarną kawę i patrząc po pozostałych. – Cztery różne rzeczy i sto procent trafień?

– Powiedzmy, że przyłożyłem się do swojej pracy domowej. – Maxowi wreszcie udało się dopić kawę do końca. Od razu poczuł się lepiej. – W końcu jeśliby mi się udało wygrać miejsce w zespole, to byłbym częścią... no, zespołu. A zespół to ludzie.

Z tym trudno było się kłócić, więc nie uzyskał żadnego komentarza zwrotnego. Cztery pary oczu wpatrywały się w niego uważnie.

– To co, rozumiem, że nadszedł czas na właściwy test? – Zatarł ręce. – Powinienem udowodnić, że nadaję się do tej roboty, nie?

Trzeba przyznać, że nowy kandydat umiał zrobić wejście smoka.

Już samym wyglądem ich zmiotł, bo zdjęcia w żaden sposób nie oddawały mu sprawiedliwości. I jeszcze przyniósł kawę. Lub, w przypadku Jamesa, herbatę. Wiedział, co lubią pić. Wydawał się sym-

patyczny i szczery. I chyba właśnie o coś pytał. O test? Że powinien coś udowodnić?

Johna wreszcie odblokowało.

– Dokładnie tak jest – powiedział, prowadząc Maxa do perkusji. – Dopasuj sobie gary do własnych potrzeb, potem zagramy razem kilka utworów. Jak skończymy pierwszą część, przejdziemy do dalszych faz. Nie przeszkadza ci, mam nadzieję, że sobie to nagrywamy? Wiesz, chcemy potem na spokojnie jeszcze raz obejrzeć wszystkie przesłuchania.

– Nie ma sprawy. Sam bym tak zrobił. – Max wzruszył ramionami. – Nie można ot tak, pod wpływem chwili, wpuścić kogoś obcego do rodziny. Taki temat trzeba przegadać. – Obszedł perkusję dookoła, zerknął na zestaw, sięgnął po dodatkowy talerz. – Dajcie mi moment. A co będziemy grać?

– Zaczniemy od „Destiny” – powiedział John. Wszystkich kandydatów przepuszczali przez dokładnie te same trzy utwory. Tak było najłatwiej ich porównać.

– O, świetnie, lubię ją – dobiegło z poziomu podłogi, gdy Max sprawdzał stopę przy bębnie basowym. Wyprostował się. – Dobra, jeśli wy jesteście gotowi, ja też jestem.

John obejrzał się na Bena i Patricka. Obaj stali na swoich miejscach. Puste kubki po kawie postawili koło nóg.

– Świetnie. Ja obserwuję, wy gracie – powiedział John, wycofując się i zerkając jeszcze raz na perkusistę. Ten właśnie pochylał się, by pocałować talerz crash, zanim usiadł i wsadził słuchawki do uszu. To było jego połączenie z innymi, z Jamesem przy konsoli, z resztą zespołu. Sięgnął po pałeczki. Jedną z nich zaczął kręcić między palcami, jakby go to relaksowało. Przy tym było świetną sztuczką sceniczną.

Patrick zaczął grać, delikatnie sunąc palcami po strunach. Ben kiwał głową, czekając na swoje wejście. Natomiast Max... coś się w nim zmieniło. Od samego początku biła z niego pozytywna energia faceta, którego łatwo polubić, ale teraz... na jego twarzy zagościł spokój. I jakby zażyłość z instrumentem. Podniósł lekko pałeczkę, zgiął nogę, wiedząc, że za moment wchodzi. A potem zaczął grać, z uśmiechem,

z półprzymkniętymi oczami, nie patrząc na perkusję, tylko na innych członków zespołu, obserwując każdy ruch, ich twarze, palce na strunach. Uderzał w perkusję tak, jakby jednocześnie grał na obu gitarach. Jakby słyszał śpiew Johna, choć ten stał z zamkniętymi ustami.

Jakby jutro miało nie nadejść.

Przy „Hurricane” John wymiękł i sięgnął po mikrofon. Nawet jeśli ostatecznie nie wybierą Maxa Valentino, chciał przez moment poczuć, jak to jest być na jednej scenie z tym facetem. Czuł, że jeśli tego nie zrobi, będzie cholernie żałował. Prześpiewał cały drugi utwór i wybrany do przesłuchania trzeci, a potem, nie mogąc się powstrzymać, zaczął też czwarty, a cappella, bo żaden z kolegów się tego nie spodziewał. Patrick zerknął na niego zdumiony, kładąc z powrotem palce na gryfie, i wtedy usłyszeli rytmiczne uderzenia z miejsca, gdzie siedział Max. Patrick dołączył do niego, szczerząc się dziko, wsparty chwilę później przez Bena.

Po czwartej piosence zapadła cisza.

– Rany, to było podchwytliwe. – Max otarł czoło ręcznikiem. – Zaskoczyłeś mnie.

– Zaskoczył wszystkich – zauważył Patrick. – Świetnie sobie poradziłeś. Przedmiot „ogarnianie kapryśnego wokalisty” zaliczony.

Max parsknął, uznając to za głupi żart.

– To jaka jest druga faza? – zapytał.

– Zrobimy takie mało zobowiązujące jam session. Zobaczymy, jak sobie radzisz z tworzeniem muzyki na bieżąco, pod wpływem chwili – powiedział Patrick, przejmując dowodzenie. Od czasu do czasu zerkał na Johna, jednak ten tylko w milczeniu kiwał głową. Myślał.

– Spoko, kiedyś się tak sporo bawiłem. Mogę też przeskoczyć na saksofon, jeśli sobie życzycie – rzucił Max, rozciągając się i sięgając po butelkę wody. – Uwielbiam jam sessions, pół młodości tak spędziłem. Tylko w innym gatunku...

Podniósł głowę i popatrzył na mężczyznę w studiu.

– Co jest?

– W jakim...

– Masz wykształcenie jazzowe, prawda? – James wyrzwał z salki obok.

– Mhm. Potem mi się zmieniły zainteresowania – odpowiedział Max, zakręcając butelkę. – Rockowa perkusja zdecydowanie lepiej odzwierciedla bicie mojego serca. A serca trzeba się słuchać. To co? Zaczynamy?

W tym całym cholernym jam session był lepszy od nich. Dopiero teraz wyszła z niego perfekcyjna technika jazzmana, której nie mógł pokazać w pełni w dosyć prostym rytmie perkusyjnym Sundance. John w pewnym momencie złapał się na myśleniu, że może nie chodzi tylko o to, by zastąpić jakoś Jima. „Jakoś” już nie wystarczało. Nagle okazało się, że Jim może i był ich ukochanym perkusistą, najlepszym, jakiego mieli... ale do tej pory też jedynym. Teraz to się zmieniło. Jim odszedł. Został jego sposób grania, ale wzbogacony przez Valentino w bardzo zaskakujący sposób. Nagle okazało się, że nie chodziło już tylko o to, by Sundance grało tak samo jak z Jimem. Bo mogło grać... lepiej?

Nie tylko John to zauważył. W pewnym momencie Patrick przerwał, zdjął gitarę i podrapał się po głowie.

– Myślę, że wystarczy. Nie ma sensu... – przerwał, gdy zobaczył wystraszone spojrzenie Maxa. – Nie, nie, chodzi mi o to, że jesteś po prostu za dobry. Eee... tak dobry, że dalsze testowanie nie ma sensu, widzimy, co umiesz. Nie chcemy cię niepotrzebnie męczyć, bo mamy jeszcze trzecią fazę.

Max, nieco uspokojony, kiwnął głową.

– Czyli?

– Cóż, kiedy wszyscy inni muzycy mają ochotę odpocząć... – zaczął Ben.

– Ach, zostawiają gościa na solo – rzucił Max. – No jasne, mogłem się domyślić.

– A więc solo.

– Długie solo? Krótkie? – Max znowu sięgnął po butelkę i po ręcznik.

– Dwie minuty czy dwadzieścia? Żebym mógł sobie to energetycznie zaplanować.

John zastanowił się.

– Co powiesz na pięć minut twojego supreme extra Valentino special?

Siedzący za perkusją Max zachichotał.

– Valentino special raz! – zapowiedział i wziął głęboki wdech. Potem drugi. Podniósł ręce.

Max starał się tego po sobie nie pokazywać, ale trochę się stresował. Tak trochę bardziej. Do tej pory potrzebował obserwować innych z zespołu, ale jak solo to solo. Wolał nie widzieć na ich twarzach rozczarowania, więc po prostu zamknął oczy. Wiedział co do milimetra, gdzie ma uderzyć, by osiągnąć określony ton, więc...

Zaczął grać, otoczony jedynie przez dźwięki i wibracje. Nie widział, że John gapi się na niego roziskrzonym wzrokiem. Nie zdawał sobie sprawy, że po trzech minutach nagle w sali zgasło światło. Po prostu grał, przekuwając bicie serca w pośpieszny, chaotyczny rytm, który, gdyby jego serce naprawdę tak się zachowywało, szybko zaprowadziłby go na kardiologię, jeśli nie do grobu.

Wreszcie uderzył w dwa największe talerze raz, drugi, trzeci, otworzył oczy i delikatnie wykończył solówkę delikatnym, zanikającym brzękiem. Wyrzucił pałeczki przed siebie i odchylił się na stołku, oddychając ciężko. Może jego serce rzeczywiście biło właśnie tak, jak grał. Ale jaka piękna śmierć to by była...

Potańczał twarzą dłońmi i wyprostował się.

Sundance na niego patrzyło. A nawet *patrzyło*.

Bardzo, bardzo niepokojące.

Usiedli w półkołu, obserwując się uważnie. Page milczał. To nie była jego decyzja do podjęcia. Mógł tu tylko być i ich wspierać.

– Włożyłeś w to całego siebie. – Pierwszy odezwał się Benjamin.
– To było czuć, w energii, w sposobie, w jaki grałeś.

Max uśmiechnął się urokliwym, choć zmęczonym uśmiechem. Brak kolacji i śniadania zaczynał mu doskwierać. Ale w sumie było już po wszystkim. Jeszcze chwilę pogadają – nie zepsuj tego, nie zepsuj! – a potem wyjdzie i... jeśli będzie miał szczęście, wróci. Dał z siebie

wszystko, co mógł. Lepiej już nie zagra.

– Cóż, drugi szansy nie będzie – powiedział powoli. – Słuchajcie, wiem, że nie jestem jedyny, i pewnie nawet nie znajdę się w trójce najlepszych, których przesłuchujecie, ale chciałbym, żebyście wiedzieli... – Zamyślił się. – Nie jestem Jimem i nie zamierzam nim być. I dziękuję, że daliście mi szansę, by pokazać, co potrafię. To dla mnie cholernie wielki zaszczyt.

– Pokazałeś, co potrafisz, i trochę zmiotłeś konkurencję – przyznał Patrick. – Przed tobą mieliśmy dwóch kandydatów i dziś przychodzi jeszcze dwóch kolejnych, ale uważam, że powinniśmy ci powiedzieć... – Zerknął na Johna i Bena. Tamci pokiwali głowami. Rozumieli się bez słów. – Świetnie nam się z tobą grało. Czuliśmy się przy tobie bardzo... swobodnie? I pewnie. Wiesz, tak naprawdę pokazałeś, że od strony technicznej moglibyśmy wyjść dziś na scenę w dowolnym miejscu na świecie i zagrać razem koncert. Bez prób, ot tak. – Strzelił palcami. – Niezależnie od naszej ostatecznej decyzji, powinieneś o tym wiedzieć.

Max pokiwał głową.

– Postaramy się podjąć decyzję tak szybko, jak to jest możliwe – odezwał się John. – Ale na pewno nie stanie się to dziś i prawdopodobnie jeszcze nie jutro. Zostaniesz w mieście, czy wracasz do siebie? Żebyśmy wiedzieli, gdzie mamy cię łąpać.

Max przeliczył coś w głowie.

– Mogę zostać jeszcze trzy dni – powiedział. – Potem mam zobowiązania. Ale oczywiście cały czas jestem pod telefonem.

– W porządku – powiedział John. – Rozumiesz, że ta decyzja...

– Jasne. – Max natychmiast przytaknął. – To gorsze, niż wybieranie żony. Takiej decyzji nie można podjąć pod wpływem chwili. – Wstał ciężko i wyciągnął rękę przed siebie do uścisku. – Jeszcze raz dziękuję. Zagrać z wami, choć przez chwilę, to prawdziwa przyjemność.

Patrick uściśnął jego dłoń, potem to samo zrobił James i Ben. John zawahał się przez moment, widząc wyciągniętą rękę, po czym podszedł i mocno uściśnął Maxa, co musiało wyglądać nieco komicznie, bo był od niego sporo niższy. A potem, niespodziewanie, Patrick zrobił to samo. I Ben. Stali tak przez moment, przytulając się do siebie, po czym

nagle się rozeszli, jakby zawstydzeni chwilą niemęskiej słabości.

John odchrząknął.

– Będziemy w kontakcie – powiedział. – I... dzięki.

Ian Pace, kolejny perkusista na przesłuchaniu, był dobry. Ale tylko dobry. Niespecjalnie radził sobie na jam session i podczas samego grania nie potrafił złapać kontaktu z zespołem, zupełnie jakby był sam na scenie. Okazał się za to szalenie sympatycznym człowiekiem, więc po próbie spędzili chyba z godzinę, gadając z nim o muzyce. A potem usiadł za perkusją jeszcze raz i grał o wiele lepiej. Wyszło na jaw, że był po prostu absurdalnie zestresowany, i kiedy odkrył, że Sundance nie gryzie, nagle stał się o wiele lepszym muzykiem. Niewiele gorszym od Maxa i Josha. No i to absurdalne poczucie humoru! Kolejny kandydat, który nie ułatwiał im podjęcia decyzji...

Na wieczór został im jeszcze ostatni gość, Vlad Erdeli, błądy chudy Węgier ze śmiesznym akcentem. Przy poznaniu okazał się nieco zdziwaczka, ale – cholera niech weźmie profesjonalistów – świetny technicznie. Trzy próbne utwory zagrał tak, jakby nie robił nic innego przez całe życie. Jam session poszło mu sprawnie, może bez fajerwerków, ale zwyczajnie przyjemnie się z nim grało. I miał świetne solo, przynajmniej dopóki nie wyłączyli mu światła. Muzyka się urwała i na scenie zapadła podejrzana cisza. I więcej ciszy.

– Vlad? – zapytał wreszcie Patrick.

Zero odpowiedzi.

Zaniepokojeni włączyli światło.

Erdeli siedział bez ruchu, z wyrazem skrajnego przerażenia na twarzy.

– Hej, Vlad, wszystko w porządku?

Dopiero po chwili zamrugał, jakby budził się z koszmarnego snu.

– T...tak – wyjąkał. – Przepraszam, ja... hm, źle znoszę ciemność. Jakaś awaria?

Ben zacisnął mocno usta, by nie wybuchnąć śmiechem. John okazał się bardziej litościwy.

– Tak, to tutaj standard. Wywala korki przy byle okazji, stara

instalacja. Ale już powinno być w porządku.

– Och... to dobrze. – Erdeli pewniej chwycił pałeczki. Zastanowił się. Odłożył je na bęben.

– Nie wiem, grać dalej? Trochę głupio wyszło...

Poprosili, by dokończył. Potem jeszcze chwilę pogadali i pożegnali się z sympatią. Obie strony wiedziały, że raczej nic z tego nie będzie, ale to nie oznaczało, że mieli być niemili. Świat muzyczny nie jest taki wielki, kto wie, czy za pięć lat nie będą nagrywali wspólnie płyty. Vlad był świetnym muzykiem i tylko to się liczyło.

Kiedy wyszedł, James westchnął.

– Proponuję, byśmy na dzisiaj skończyli – powiedział zmęczony. – To już koniec przesłuchań, ale kwestia nadal wymaga rozwiązania. Prześpijcie się z tym wszystkim, a jutro spotkamy się, podzielimy wnioskami, przejrzymy nagrania...

Nikt się nie sprzeciwił. To było najlepsze, co mogli zrobić. Pożegnali się szybko i rozjechali się do domów. Patrick do wielkiej pustej willi, która nie wydawała się tak wielka i pusta, dopóki Dia jej nie opuściła. John i Ben do podmiejskiej rezydencji Bena, gdzie już czekał na nich Alfred, kamerdyner idealny, i wciąż ciepłe czekoladowe ciasteczka zostawione przez prywatną kucharkę. Page do swojego apartamentu.

W mieście zapadała noc.

Nie podjęli decyzji następnego dnia. Ani jeszcze następnego. Po trzech dniach wcale nie byli mądrzejsi, za to mieli już naprawdę, naprawdę dosyć oglądania nagrań i dyskusji, które donikąd nie prowadziły.

– Wcale nie jest tak łatwo, jak mogłoby się wydawać – jęknął John, odchylając się na fotelu i drapiąc po już i tak rozwichrzonej czuprynie. Przejechał palcami po zniszczonych końcówkach, popatrzył na niepokojąco matowe kosmyki. Koniecznie musiał iść do fryzjera. Jeśli nie dla dobra wizerunku wracającego na rynek zespołu, to chociażby dla własnego samopoczucia. Już dawno nie czuł się tak przygnieciony

problemami, ogólnie życiowo znękany i jakiś taki mało atrakcyjny jako człowiek. – Naprawdę, naprawdę nie wiem! – Skrył twarz w dłoniach.

– Ale ograniczyłeś wybór do, nie wiem, dwóch? – zapytał Page, który od kilku godzin, razem z resztą zespołu, przeglądał wideo z przesłuchań.

– Uhm. Bohnam albo Valentino. I za cholerę nie wiem, który z nich. Nie możemy mieć dwóch perkusistów? – odpowiedział John.

– O, to przynajmniej z tym się zgadzamy – ucieszył się Patrick, choć jakoś niemrawo. – Ben, a ty co sądzisz?

– Bohnam jest zajebisty, ale ja się go boję – mruknął basista znad butelki ciemnego piwa.

John popatrzył na niego zdumiony.

– Przepraszam, mógłbyś powtórzyć? – Patrick też się zainteresował. – Jest coś, czego się boisz?

– No co? – warknął Benjamin. – Mówię, jak jest! A może nawet nie tyle się boję, co nie wiem, czy jestem dla niego wystarczająco dobry...

– To na kogo byś postawił? – zapytał Page.

Ben wzruszył ramionami.

– Max wydawał się równie zajebisty. I przyniósł kawę.

– Nie możemy wybierać perkusisty na podstawie tego, czy przyniósł nam kawę – przypomniał Patrick.

– Nie, mamy wybrać gościa, z którym gra się nam najlepiej i z którym czujemy się najlepiej – zgodził się Benjamin. – Dla mnie to był Valentino.

John zamyślił się.

– Valentino – powtórzył po chwili.

– Valentino. – Patrick pokiwał głową. – To teraz tylko musimy go o tym poinformować. Choć trochę szkoda tego Bohnama...

– To może jednak Bohnam? – zapytał Page. – Wiem, że to trudna decyzja, i nie popędzam was. Dajcie sobie jeszcze trochę czasu, jeśli nie jesteście pewni.

Członkowie Sundance popatrzyli na siebie. Długo. Bardzo długo. Wreszcie John się odezwał, kręcąc głową.

– Nie. Chcemy Valentino.

Reszta zespołu się z nim zgodziła, tym razem już bez wahania.

– Zadzwoń do niego? – zapytał Page.

– Mam pewien pomysł, jak go poinformować, jeśli jeszcze nie opuścił hotelu... – przyznał Patrick. – Tylko muszę podskoczyć do samochodu, mam w bagażniku niezbędny rekwizyt...

Popatrzyli na niego podejrzliwie. I choć chcieli z niego wycisnąć, jaki ma niecny plan, to nie pisał nawet słowa. Powiedział im tylko, co mają zrobić, i zniknął.

– Może przy okazji wymienimy gitarzystę na takiego, który się słucha? – zaproponował John, podchodząc do zestawu perkusyjnego i odkręcając jeden z elementów.

Ben ponownie wzruszył ramionami.

– Gitarzystą, który się słucha? Stary, taki gatunek nie istnieje...

Max leżał na hotelowym łóżku i gapił się w sufit. Nie miał ochoty na zwiedzanie miasta. Odliczał tylko minuty, by móc opuścić to smutne wnętrze, złapać taksówkę i pojechać na lotnisko. Zwlekał z tym ostatnim wcale nie ze względu na Sundance, tylko czysto praktycznie, nie miał ochoty rzucać się w oczy wśród tabunów ludzi. Nie, kiedy miał tak skwaszony nastrój. Nie zadzwonili. Nie chcą go. Gorzej, nie zadzwonili nawet z informacją negatywną.

I z każdą minutą było mu coraz bardziej przykro i coraz bardziej smutno, bo docierało do niego, jak straszliwie chciał dostać tę fuchę. Stać się członkiem Sundance. Może za mało zrobił? Może nie jest wystarczająco dobry? Co powinien zmienić? A może właśnie przesadził w drugą stronę, chciał być zbyt miły, zbyt sympatyczny, a oni szukali jakiegoś mrocznego boga. A on? On był typem golden retrievera po przedawkowaniu cukru. Tak, to pewnie to.

Zamamrotał coś niecenzuralnie i przewrócił się na bok. Potem, wciąż z niechęcią, spuścił nogi na podłogę, wstał i przeciągnął się leniwie. Na jego twarzy pojawił się niepewny uśmiech.

No dobrze, to było przydziałowe dziesięć minut na smuteczki,

a teraz pora wracać do życia. Kilka przysiadów, szybka mocna kawa w kawiarni na dole i jedziemy dalej.

Pukanie do drzwi rozległo się gdzieś w połowie siódmego przysiadu. Max dokończył dziesiątkę i dopiero wtedy podszedł do drzwi.

– Tak? – zapytał, otwierając je i spodziewając się, że po drugiej stronie będzie jakiś hotelowy pracownik, ewentualnie zagubiony gość.

– Pan Valentino? – dobiegło spod czapki z daszkiem.

Max szybko obrzucił spojrzeniem postać szczupłego kuriera z długim warkoczem.

– Owszem – przyznał.

– Przesyłka dla pana. – Kurier podał mu niewielką, płaską paczkę przypominającą nieco wyższe pudło od pizzy. – Do widzenia – rzucił i odszedł szybkim krokiem, po chwili znikając za załomem korytarza.

Max jeszcze przez moment stał w otwartych drzwiach, gapiąc się za indywiduum, które z jakiegoś powodu wydawało mu się znajome. Wreszcie wrócił do pokoju, zamknął drzwi nogą i uważniej przyjrzał się pudełku. W rogu dojrzał niewielkie logo Sundance. Serce mu zamarło. Zalała go fala różnorodnych emocji. Zdenerwowanie szybko zastąpione przez gwałtowny wybuch nadziei, a potem rozczarowanie.

– Niech zgadnę, czekoladki na pocieszenie – westchnął głośno, siadając na łóżku i zabierając się za rozpakowywanie pudła.

Na wierzchu był papier. Pod papierem jeden z perkusyjnych talerzy z logo Sundance. Nadal niepewny, co to wszystko oznacza, Max kopał głębiej. Znalazł kartkę z numerem telefonu. A potem kopertę. Rozerwał ją z irytacją, na tym etapie dochodząc do wniosku, że członkowie Sundance to banda cholernych psychopatów i sadystów.

Ze środka wypadła pojedyncza kartka ze złoconymi brzegami, ładząco przypominająca zaproszenie, które kilka tygodni wcześniej dostał od Page'a. Jednak tym razem nie było propozycji, by przyjechał na przesłuchanie. Na środku zamaszystym pismem ktoś nabazgrał:

„Witaj w rodzinie”.

Max nabrał głęboko powietrza, a potem zapomniał oddychać w ogóle.

Witaj w rodzinie.

Max

Copyright © Hermia Stone

Copyright © Wydawnictwo Inanna

Copyright © MORGANA Katarzyna Wolszczak

Copyright © for the cover photo by © LIGHTFIELD STUDIOS/Adobe Stock

Wszelkie prawa zastrzeżone. All rights reserved.

Wydanie pierwsze, Bydgoszcz 2022 r.

książka ISBN 978-83-7995-560-2

ebook ISBN 978-83-7995-570-1

Redaktor prowadzący: Marcin A. Dobkowski

Redakcja: Bożena Walewska

Korekta: Monika Halman

Adiustacja autorska wydania: Marcin A. Dobkowski

Projekt okładki: Agnieszka Zawadka

Skład i typografia: www.proAutor.pl

Książka ani żadna jej część nie może być przedrukowywana ani w jakikolwiek inny sposób reprodukowana czy powielana mechanicznie, fotooptycznie, zapisywana elektronicznie lub magnetycznie, ani odczytywana w środkach publicznego przekazu bez pisemnej zgody wydawcy.

MORGANA Katarzyna Wolszczak

ul. Kormoranów 126/31

85-432 Bydgoszcz

sekretariat@inanna.pl

www.inanna.pl

Książkę i ebook najtaniej kupisz na www.inanna.pl